

Pieniactwo i berżeretki

12 maja 2009

Ponieważ Polska coraz głębiej wciągana jest do Eurosojuza, nic dziwnego, że na froncie wewnętrznym zaostrza się walka polityczna. Najbardziej spektakularnym jej wyrazem jest zmiana konstytucji, do jakiej nieoczekiwanie doszło 7 maja. Sejm uchwalił zakaz kandydowania do Sejmu i Senatu osobom prawomocnie skazanym za umyślne przestępstwa ścigane z oskarżenia publicznego. Będzie on obowiązywał od następnej kadencji, więc teraz należy oczekiwać gwałtownego wzrostu donosów i oskarżeń ze strony prokuratury, po których w niezawisłych sądach posypią się piękne wyroki.

Jest to jeszcze jeden dowód na recydywę saską. Czasy saskie charakteryzowały się głębokim upadkiem życia politycznego i kulturalnego, rozkładem armii i ducha obywatelskiego, ale na tle tego upadku tym silniej zaznaczał się rozkwit pieniactwa, w którym zarówno indywidualna, jak i społeczna energia znajdowała ujście.

Zmiana konstytucji z pewnością będzie sprzyjała rozwojowi pieniactwa, zaś personalna obsada prokuratur i niezawisłych sądów nabierze jeszcze większego znaczenia niż dzisiaj. Ciekawe, jakiego rodzaju publiczne oskarżenia będą w tej walce z politycznymi przeciwnikami przeważały; czy raczej o przestępstwa przeciwko mieniu, jak kradzieże, malwersacje czy korupcja, czy też przeciwko politycznej poprawności – a więc oskarżenia o antysemityzm, rasizm, kseno- i homofobię oraz temu podobne. Jeśli zbyt wielu polityków zechce skorzystać z tej metody, to może się okazać, że literatura znów wyprzedziła życie i że sztuka Sławomira Mrożka pod tytułem „Policja – dramat ze sfer żandarmeryjnych”, gdzie policjanci wyaresztowują się wzajemnie, była prorocza.

To byłby zresztą nawet dowcipny finis Poloniae, do którego nasz kraj wydaje się zmierzać wielkimi krokami, chociaż

wszyscy starają się tego nie zauważać, niczym słońca w menażerii. Trudno się temu dziwić, bo gdyby zauważać, to zaraz trzeba by zaraz zacząć rozdzierać szaty, a przynajmniej zostać kronikarzem agonii, jak niżej podpisany – a nie każdy ma na to ochotę, bo tego rodzaju spostrzegawczość ani nie jest specjalnie wynagradzana, ani dobrze widziana przez naszych okupantów. Dlatego też artykuł komandora Bilskiego o postępującym rozbrajaniu państwa i rozkładzie armii, który nawet został wydrukowany w „Rzeczpospolitej”, nie wywołał żadnego rezonansu. Za to media ekscytują opinię publiczną przygotowaniami do jubileuszów, których w bieżącym roku przypada wyjątkowo dużo. Ponieważ obchodzenie rocznicy zwycięstwa nad Niemcami zwłaszcza w Polsce nie byłoby ani taktowne, ani historycznie, a zwłaszcza – politycznie uzasadnione, uwaga koncentruje się na 4 czerwca, kiedy przypada 20 rocznica tak zwanych kontraktowych wyborów. Jak wiadomo, generał Kiszczak przy okrągłym stole uzgodnił ze swoimi zaufanymi partnerami, że partia oraz tak zwane stronnictwa sojusznicze wybiorą 65 procent posłów na Sejm, a zaufani – 35 procent, zaś wybory do Senatu będą już wolne. Kiedy jednak okazało się, że wyborcy, którzy wtedy jeszcze naiwnie myśleli, że to wszystko naprawdę, wycięli tak zwaną „listę krajową” do Sejmu, na której partia umieściła swoje najukochańsze duszeńki, generał Kiszczak zagroził unieważnieniem wyborów. Zaufani powinność swej służby zrozumieli; Tadeusz Mazowiecki oświadczył, że „umów należy dotrzymywać”, przy czym nie miał oczywiście na myśli umowy z wyborcami, którzy wtedy jeszcze naiwnie – i tak dalej – tylko umowę z generałem Kiszczakiem. Udowodnił w ten sposób, że można na nim polegać i być może ta właśnie okoliczność zdecydowała, iż został później „pierwszym niekomunistycznym premierem”, zaakceptowanym, jak się wydaje, również przez samego pana Kriuczkowa, ówczesnego szefa KGB, który był jego pierwszym zagranicznym gościem. Tymczasem jednak Rada Państwa w trakcie wyborów zmieniła ordynację, dzięki czemu duszeńki do Sejmu weszły i w ten oto sposób komunizm został w Polsce obalony.

To właśnie mamy czcić 4 czerwca i z tego powodu się radować, jako „wszyscy Polacy” – zaś w sposób szczególny – że kiszczakowskie wybory odbyły się przed zburzeniem muru berlińskiego. Premier Tusk wykombinował sobie, że nasza Katarzyna Wielka, czyli pani Aniela, popchnie w Gdańsku kostkę domina z napisem „Solidarność” i dopiero ta kostka przewróci następną z napisem „mur berliński” – i tak dalej.

Taką to piękną zabawę, taką to sielankę sobie państwo zaplanowali. Pani Aniela podobnież się zgodziła, bo właściwie co jej szkodzi, że w tej berżeretce odda pierwszeństwo „Solidarności”, jeśli dzięki temu ani tubylczy mężykowie stanu, ani niezależne media nawet słówkiem nie pisną o metodycznej realizacji planu przekształcania gospodarki polskiej w peryferyjną i uzupełniającą względem gospodarki niemieckiej? W ramach tego przekształcania likwidowane są całe gałęzie – ostatnio najbardziej spektakularne formy przybrała likwidacja przemysłu okrętowego. Ale, jak ostrzegał Janusz Szpotański – „gdy car prorocze ma widzenia, zawsze je spłyci cham i łyk. Dlatego muszą być więzienia, turma i łagier, kat i stryk”.

Więc kiedy stoczniovcy z „Solidarności” zapowiedzieli na 4 czerwca swoją demonstrację w Gdańsku, premieru Tusku musiały przejść po krzyżach ciarki, że oto ktoś wciąga go w kanał, ktoś złoci mu rogi, ktoś chce go uczynić bohaterem kolejnej odsłony „polskiego czerwca”, kiedy musiałyby konfrontować się ze stoczniovcami i to jeszcze – o Jerum, Jerum! – w przytomności samej pani Anieli, wobec której mogą oni nie zachować wszystkich reguł staroświeckiej rewerencji! Dlatego zdecydował przenieść „polityczną” część berżeretki na Wawel. Niewątpliwie Wawel jest bezpieczniejszym miejscem; zauważył to nawet Generalny Gubernator Hans Frank, bo czyż w przeciwnym razie obrałby sobie akurat tam siedzibę swojego rządu? Jak się okazuje, zawsze można nawiązać do jakiejś tradycji; jak nie tej, to tamtej, zwłaszcza że tak naprawdę, to nie wiadomo, która z nich jest bliższa rzeczywistości.

Nie ma tej pewności zwłaszcza po wizycie ministra Sikorskiego w Moskwie, podczas której wydawał się on zupełnie pogodzony z faktem, iż fundament europejskiej polityki jest strategiczne partnerstwo niemiecko-rosyjskie, którego kamieniem węgielnym z kolei jest wzajemne respektowanie stref wpływów, mniej więcej wzdłuż dawnej linii Ribbentrop-Mołotow. Świadczyłby o tym nie tylko repertuar min, jakie minister Sikorski zaprezentował ministrowi Ławrowowi – bo w odróżnieniu od groźnych min prezentowanych podczas spotkania z Włodzimierzem Putinem – tym razem minister Sikorski robił miny przymilne – ale przede wszystkim zaakcentowanie intencji „modernizacji” Białorusi, Ukrainy, Gruzji i Armenii. „Jak forsa, to mi wsuń ją”; już tam prezydent Łukaszenka będzie wiedział, jak się modernizować za niemieckie (bo chyba nie polskie – a?) pieniądze, a kto wie, czy nie przypomni sobie nawet hasła polskich patriotów z epoki Powstania Styczniowego, którzy nawoływali, by „brać i nie kwitować!”. Co z tego Niemcy będą miały – to się wkrótce okaże, bo że na coś liczą, to rzecz pewna. Świadczyła o tym najlepiej obecność pani Anieli na unijnym szczycie w Pradze, poświęconym – jakżeby inaczej – Partnerstwu Wschodniemu, czyli właśnie owej „modernizacji”. Nie pojawił się tam natomiast ani prezydent Sarkozy, ani brytyjski premier Brown, ani hiszpański premier Zapatero, co oznacza, iż najwyraźniej uznają oni Partnerstwo Wschodnie za imprezę niemiecką, którą pani Aniela przeprowadza na własną rękę ze swymi wasalami – oczywiście w uzgodnieniu z ruskimi szachistami. O tym uzgodnieniu świadczy niemiecka stanowczość w blokowaniu jakichkolwiek aluzji sugerujących choćby cień nadziei na przejście któregośkolwiek z „partnerów” do innej strefy wpływów. Najwyraźniej strategiczne partnerstwo przeszło gładko również i tę próbę – co minister Sikorski uznał za wielki sukces Polski. Niech mu Pan Bóg da zdrowie.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)